TYGODNIK POLSKI
THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:
J. Kasprzak, J. Lechoń, I. Lorentowicz, I. Piotrowska, K. Suszczyński, M. Wańkowicz, W. Świętosławski.

Vol. 2. Nr. 2 (54) Nowy Jork, 9 stycznia — New York, 21, N. Y., January 9, 1944 Cena 15 ct.

OSTATECZNA ODPOWIEDŹ

Za parę czy za kilkanaście dni przyjeżdża do Waszyngtonu z pierwszą wizytą, w charakterze szefa rządu polskiego, premjer Mikołajczyk; jakiekolwiek były podawane tej wizyty preteksty, wiemy, że w obecnych warunkach celem jej są niezwykle ważne i w pewnym sensie decydujące rozmowy na temat stosunków polsko-rosyjskich.

W chwili, gdy premjer Mikołajczyk rozmawiać będzie z Prezydentem Rooseveltem, wojska rosyjskie znajdować się już będą w granicach Polski ustalonych w Rydze i uznanych przez wielkie mocarstwa a dziś tak zagrożonych. Ten sam fakt jest bardzo wymownym dowodem ważności mających odbywać się rozmów i tym razem nie jest to zbanalizowanym zwrotem, iż kiedy p. Mikołajczyk mówić będzie Prezydentowi Rooseveltowi, co Polska myśli i czego się domaga — cały świat zwróci oczy w stronę Białego Domu.

Młody, tak niedawno jeszcze mało komu z nas znany, chłopski premjer polski niesie w tej chwili na sobie odpowiedzialność, o której za mało powiedzieć byłoby, że jest ona historyczna. Odpowiedzialności jaką on dźwiga, nie miał być może żaden czołowy mąż polski od czasów rozbiorów; wszyscy oni niemal byli wodzami wojskowymi, za których los wojny niejako pobierał decyzję.

P. Mikołajczyk ma aktem woli i aktem myśli, jako szef polskiego rządu, powziąć historyczną decyzję imieniem całego naszego narodu. Jeśli jest to ciężar bezmierny — jest to zarazem wyróżnienie, które może stać się pasowaniem młodego chłopskiego przywódcy na dziejową postać.

Nie wątpimy, że pan Mikołajczyk tak rozumie swą rolę i nie chcemy mieć wątpliwości jak ją odegra.

Kiedy wojska rosyjskie wchodzić będą w granice tak straszliwie męczonego naszego kraju, między rządem polskim, przedstawiającym pierwszy naród powstały w obronie wolności, a rządem sowieckim, który w chwili najazdu na Polskę współpracował z Niemcami, nie będzie, jest to już dziś jasne, dyplomatycznych, a więc krótko mówiąc — żadnych stosunków.

Wojska rosyjskie wejdą do Polski nie związane żadną obietnicą, że szanować będą polską suwerenność, życie i mienie polskich obywateli; więcej, wchodzą one do nas, głośno mówiąc, że wchodzą do siebie, czyli, że mogą robić, co im się podoba z obywatelami polskimi, traktując ich jak swoich własnych, czyli jak niewolników, których praw nikt i nic nie chroni.

Ten stan rzeczy osiągnięty został po trzech latach wszelkich możliwych ze strony Polski wysiłków, aby pomimo bezbrzeżnych cierpień zadanych Polakom przez Rosjan, pomimo świeżej pamięci zdradzieckiego na nas napadu utrzymać dobre z Rosją stosunki, zachować jedność Narodów Zjednoczonych i nie utrudniać istotnie trudnej sytuacji naszych wielkich sojuszników.

Rząd Polski do ostatnich granic cierpliwości, a wielu z nas myśli, że poza wszelkie granice tego, co znieść był powinien, trwał na tej drodze dyplomatyzowania, dyskrecji, odkładania na później, z tą oczywiście myślą, że sojusznicy nasi ocenią tę niebywałą lojalność i że choćby w ostatniej, najostatniejszej chwili, to znaczy przed wejściem Sowietów do Polski, sprawa nasza zostanie sprawiedliwie załatwiona.

Pan premjer Mikołaiczyk powiedzieć sobie śmiało może, że jeśli chodzi o lojalność sojuszniczą, o ułatwienia dla Stanów Zjednoczonych i Anglji, zrobiliśmy wszystko, co możliwe; ale musi też zdawać sobie sprawę, jak nam za to odpłacono. Gdyby jakieś miał pod tym względem wątpliwości, wystarczyłoby mu jeszcze raz przeczytać numer "New York Times" z dnia 30 grudnia 1943 r., aby te wątpliwości się rozwiały.

Dlatego nie wątpimy, że pan Mikołajczyk, polski chłop i polski premjer, przyjeżdża do Waszyngtonu w jednym tylko celu. Że przyjeżdża, by powiedzieć osobiście kierującym mężom Stanów Zjednoczonych i powiedzieć głośno przed opinją amerykańską, że Polska nie idzie na żadne ustępstwa w sprawie granic, przyznanych jej przez prawnie zawarte miedzynarodowe traktaty, w sprawie ziem zroszonych tyle razy krwia polską, krwią tylu Polaków, Białorusinów, Żydów i Ukraińców zamordowanych przez Sowiety. Wierzymy, że p. Mikołajczyk odrzuci bez wahania

wszelkie naprawdę albo na niby naiwne propozycje plebiscytów na ziemiach polskich i że wytłómaczy komu należy z cyframi w ręku, iż gdyby na tych ziemiach stosować plebiscyt — stokroć większą racją byłoby odbyć go na ziemiach sowieckiej Rosji, gdzie miljonowe narody jęczą w straszliwej niewoli i gdzie najszczęśliwsi nie korzystają z części tych swobód, jakie były prawem w rzekomo faszystowskiej Polsce.

Wierzymy, że p. Mikołajczyk to właśnie powie, gdyż w obecnej chwili nie ma nic innego do powiedzenia.

Odpowiedzialność historyczna, która wybrała go jako syna ludu polskiego, aby przemówił imieniem prawdziwej demokracji w obronie prawdziwej wolności, tę jedną tylko zostawiła mu drogę; poza nią jest tylko kompromis, będący w obecnej chwili haniebną abdykacją, niemożliwą do przyjęcia przez nikogo z Polaków.

Pan Mikołajczyk, który jest przywódcą jednego ze stronnictw polskich i który nieraz z tego tytułu, nawet jako minister wygnańczego rządu, występował bojowo w wewnętrznych sprawach polskich — ma pomimo tego w tej chwili cały polski naród w kraju i tu na wychodźtwie, całą armję polską za sobą. Jeśli godnie wypełni ten obowiązek, jaki historja na niego nakłada, stanie się naprawdę człowiekiem całego narodu.

I jeszcze jednego oczekujemy od pana Mikołajczyka, co musi być nareszcie powiedziane, nietylko w naszym polskim interesie, lecz także w imię moralności, która jest jedyną więzią spajającą Narody Zjednoczone; bez tej moralności wcześniej czy później ich mozolnie budowana jedność rozpadnie się, stawiając cały świat i także Amerykę wobec widma nowych wojen i nowych ruin.

Gdyby ze strony amerykańskiej namawiano p. Mikołajczyka na ustępstwa, których domaga się Rosja, a które są w oczywistej sprzeczności ze sprawiedliwością, z demokracją i z wolnością, liczymy na to, że p. Mikołajczyk nietylko te propozycje odrzuci ale wyrazi najwyższe zdziwienie, iż ktośkolwiek w demokratycznych Stanach Zjednoczonych chce być rzecznikiem takiej sprawy, sprzecznej z tradycją historyczną Stanów Zjednoczonych, sprzecznej z ideałem, na którym to wielkie państwo stoi.

Takie oświadczenie będzie niezbędnem dopełnieniem ostatecznej polskiej odpowiedzi, której z ufnością oczekujemy od naszego premjera.

DO CZYTELNIKÓW

Jak pisaliśmy o tem poprzednio, "Tygodnik Polski" zaczął drugi rok swego istnienia zdany wyłącznie na własne siły, to znaczy na poparcie czytelników. Nie przerywamy naszej pracy nad skupieniem sił pisarskich, niezależnie od przekonań a złączonych troską o los Polski wolnej, niepodzielnej, demokratycznej i zdolnej do zabezpieczenia swobody i praw wszystkich jej obywateli. Nie przerywamy tej pracy tembardziej teraz, gdy losy naszego kraju wchodzą w jeden z rozstrzygających okresów wojny.

*

Chcąc zadośćuczynić wyrażanym często życzeniom, dokonaliśmy z nowym rokiem zmiany formatu naszego pisma, o co czytelnicy dopominali się oddawna. Nowy format ma niewątpliwie tę wyższość nad poprzednim, że teraz pismo nasze łatwiej będzie kompletować i oprawić. Sądząc z licznych listów czytelników, o to głównie chodziło.

Przez wprowadzenie nowego formatu objętość "Tygodnika Polskiego" nie została zmniejszona; pismo nasze przynosi tę samą ilość materjału, co poprzednio. Nowy sposób wydawania pisma daje nam natomiast możność uzupełnienia tekstu liczniejszemi ilustracjami, co czytelnicy przyjmą zapewne z zadowoleniem.

Zmiana typu "Tygodnika" pociągnęła za sobą zwyżkę kosztów blisko o 10 procent. W związku z tem, jak również z ogólną naszą sytuacją, przedstawioną czytelnikom w poprzednich numerach, zmuszeni byliśmy podnieść prenumeratę do $7 rocznie i $3.50 półrocznie.

Nasz apel o poparcie "Tygodnika Polskiego" nie minął bez echa. Zwróciliśmy się do czytelników o wpisywanie się na "listę opiekunów" (czyli t. zw. "sponsorów") wraz z uprzejmem wpłaceniem $20 lub więcej.

Na apel ten odezwali się czytelnicy niezwłocznie i już dziś możemy podać następujące nazwiska na "liście opiekunów":

Władysław Brzenk, Nowy Jork $20.
Wojciech Świętosławski, Pittsburgh, Pa. $20.
Anonim, Cleveland, Ohio $20.
Dr. R. O. Ostrowski, Hammond, Ind., $20.
J. H. Rosen, Washington, D. C., $20.
Maurycy Mohl, Nowy Jork, $20.
A. F., Nowy Jork, $20.
J. Kaszubowski, Buffalo, N. Y. — $25.
K. Pusłowski, Scarsdale, N. Y., $20.
Ks. S. Niedbalski, Erie, Pa., $25.
A. Gregorius, Baltimore, Md., $25.
St. Aulak, Brooklyn, N. Y., $20.
J. P. C. Srutwa, Chicago, Ill. — $20.50.
Zygmunt Karpiński, Nowy Jork $20.
Katarzyna Kilar, Boston, Mass., $20.

Dziękujemy wymienionym przyjaciołom naszego pisma za poparcie jak najserdeczniej i prosimy innych czytelników o jednanie nam nowych prenumeratorów i szerzenie "Tygodnika Polskiego" wśród znajomych. Mamy nadzieję, że "Tygodnik Polski" starając się dostosować do wyrażanych życzeń, zbliży się jeszcze bardziej do czytelników i utrwali zyskane już u nich zaufanie.

W POPRZEDNIM (53-im) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"



rys. Irena Lorentowicz

JAN LECHOŃ

MĘCZENNICY

Wszyscy święci z ołtarzy, z obrazów, z pomników
Ze światłami nad głową i z ranami w boku,
Wszystkie święte o cudnym panieńskim uroku
Wychodzą na spotkanie naszych męczenników.

Wśród śpiewów gregorjańskich idą mleczną drogą
Anieli w złotych zbrojach z srebrnemi skrzydłami,
Pomagają iść rannym, co sami nie mogą,
I mówią do nich cicho: "Módlcie się za nami!"

I oto wśród trąb grania pękają lazury
I widać Matkę Boską przy Świętej Dziecinie,
A oni przystanęli, aby spojrzeć zgóry,
Jak idzie polskie wojsko i jak Wisła płynie.

Irenie Wiley

KAZIMIERZ SUSZCZYŃSKI

NALOT NA ESSEN

Cel był wyraźnie oznaczony na olbrzymiej mapie Europy, rozpiętej na ścianie. Z lotniska naszego biegła czarna linja do małej miejscowości na wschodniem wybrzeżu Anglji, tam się załamywała i skręcała na południe, dotykając brzegu kontynentu tuż ponad Rotterdamem. Stamtąd biegła prosto do Essen. Essen, serce wojennego przemysłu niemieckiego, miało być dzisiejszej nocy wykluczone z gospodarczego systemu niemieckiego na przeciąg paru dni. To było nasze zadanie. Nad celem siedemdziesiąt osiem samolotów. W tem z Polish Bomber Command trzydzieści sześć samolotów. Początek bombardowania o godzinie drugiej z rana.

Było już parę minut po północy. Maleńkie, samodzielne państewko, jakiem jest stacja dwu polskich dywizjonów bombowych, zawrzało życiem od nowa.

Czas zarządzonego startu. Wężem, jeden za drugim, posuwały się majestatycznie obciążone Wellingtony, każdy z nich z zapalonemi światłami pozycyjnemi. Krótki błysk zielonego światła, skierowany gdzieś w ciemności i w daleki skraj lotniska — a potem ryk silników. Najpierw niezsynchronizowany. Każdy silnik pracuje na innych obrotach. Staje się bardziej jednostajny. Samolot w górze. Silniki cichną. Cichną tylko poto, by następny samolot napełnił powietrze ponownym hałasem. Dwadzieścia samolotów. Jeszcze słychać ich granie... Może jeszcze który zawróci... Zgaszono światła na lotnisku. Cisza. Zbudzony anglik z sąsiedniej wioski usypia znów, stwierdziwszy, że hałas, co go zbudził był tylko snem.. Trwało to tylko niespełna pół godziny.

"Za dziesięć minut powinniśmy być na brzegu holenderskim" — rzuca mi stojący obok mój drugi pilot.

Niemcy byli zajęci innymi. Wogóle nie chcieli się nami zajmować. Nikt nas nie zaczepia. Godzina lotu ponad terenem nieprzyjacielskim bez żadnych niespodzianek. To doprawdy nie zdarzało się zbyt często.

Ze znalezieniem celu było nieco gorzej niż zwykle. Mgła okrywająca Zagłębie Ruhry nie pozwalała na dokładne zorjentowanie terenu. Decydujemy się wreszcie na wyrzucenie bomb oświetlających. Zjeżdżam do wysokości szesnastu tysięcy stóp. Nawigator wyrzucił cały zapas swych flar. Zaledwie wykonałem skręt do tyłu a ziemia została oświetlona przeraźliwie silnem światłem naszych flar. Pod nami było Essen. Ilość flar wyrzucanych przez inne samoloty, wzrastała stale. Artylerja niemiecka otworzyła silny skoncentrowany ogień zaporowy. Reflektory jednak nie mogły przebić warstwy mgły. Kilka innych samolotów wyrzuciło już bomby zapalające. Myśmy jeszcze czekali na lepsze oświetlenie terenu. Wreszcie nawigator dał mi rozkaz nalotu na bombardowanie. On już rozpoznał teren. Był zdecydowany na wyładowanie ładunku bomb. Zwątpiłem zupełnie w możliwość zbombardowania właściwego celu, gdyż Niemcy wcale do nas nie strzelali. Sakramentalne "poszły" nawigatora z jednoczesnem rozerwaniem się kilkunastu pocisków w pobliżu samolotu—oszołomiło mnie zupełnie. Nie wiedziałem wogóle, co się stało. Wydało mi się, że jedna z własnych bomb eksplodowała tuż pod samolotem. Samolot nie reagował prawie zupełnie na ruchy sterami. Nie upłynęło parę sekund a kilkanaście innych pocisków dosięgło nas znów. "Uciekaj w lewo" — krzyczał tylny strzelec. "W prawo" — wołał przedni. A ja nie mogłem się na nic zdecydować. Jedno co wiedziałem to to, że wysokość nasza wzrosła z szesnastu na dwadzieścia tysięcy. "Kazik, czy żyjesz" pyta któryś. Odpowiadam "tak". A jednocześnie czuję, że usypiam. Czy może jestem ranny.. Ktoś mi nakłada coś na twarz... lepiej, znów widzę zegary kontrolne w kabinie pilota, znów czuję samolot. Nowa serja pocisków tuż przy nas i samolot pochyla się na prawe skrzydło.

"Przygotować się do skoku" wołam do załogi... sam raz jeszcze próbując opanować samolot. Jeszcze się słucha sterów ale już nie jest tak stateczny jak był przedtem... "No to koniec"— pomyślałem. O zamianie miejsc z drugim pilotem nie było mowy. A ja czułem się tak straszliwie zmęczony... za jednem przyłożeniem do ust termosa z czarną kawą, opróżniłem go zupełnie. Poczułem się znacznie lepiej. Zacząłem rozważać dalsze możliwości. Możliwość rozlecenia się samolotu w czasie przelotu morza, możliwość ciężkiego wypadku podczas lądowania w Anglji a wreszcie zalety, co prawda tylko pozorne, skoku nad Europą i dobrowolne oddanie się w niewolę... Żadna z tych ewentualności nie przypadała mi specjalnie do gustu.

Po półgodzinnym locie byliśmy już nad Anglją. Nawigator stojąc obok mnie, prowadził nas do domu po najbardziej zamieszkałej trasie, by w razie wypadku pomoc była możliwie szybka. W pewnej chwili pytam go, co to wszystko było?

"A no — odpowiada — przy pierwszej serji jak rzuciło samolotem, odpięła ci się maska tlenowa i mikrofon. Tyś był oślepiony i oszołomiony. Nie zauważyłeś tego. A reszta to skutki braku tlenu. Myślałem że cię zabili, boś się wogóle na nasze wołania nie odzywał. Gdy przyszedłem do ciebie zobaczyć czy jeszcze żyjesz, to przedewszystkiem założyłem ci maskę tlenową i tyś zaczął zaraz mówić. To wszystko szczeniak. Grunt, że nas nie zestrzelili. A myślałem, że już po nas. Celnie strzelają."

"Czy to nasz "beacon" — zapytałem go, wskazując mu czerwone światło świecące, litery UK.

"Tak! To nasz!"

"Załoga do ogona, wypuścić przedniego strzelca, trzymać się mocno, bo jestem pewien kraksy" — podałem do załogi.

Rozkaz wykonano. Zawsze zresztą byłem pewien posłuszeństwa swej załogi! Sam natomiast nawiązałem kontakt z lotniskiem:

"Hallo Susy, hallo Susy — wołaełm — samolot uszkodzony. Przygotować lotnisko do kraksy. Sanitarkę i straż ogniową. Over!"

"Hallo Napoleon, Susy woła Napoleon, O-key! Message otrzymany i zrozumiany. Stand-by".

Nie upłynęło pięć minut a wołano mnie znów.

"Hallo Napoleon, możecie lądować, lotnisko gotowe."

"O-key!" — rzuciłem do mikrofonu. Jednocześnie nacisnąłem dźwignię pdwozia do dołu. Zaświeciło tylko jedno światło kontrolne podwozia. To tylko jedno koło w dole! Byłem na wysokości stu stóp. Próbuję otworzyć klapy do lądowania. Samolot gwałtownie pochyla się w lewą stronę. Szybko skontrolowałem sterem i jednocześnie zaniechałem dalszego opuszczania klap. Prawie że jednocześnie przerwał prawy silnik. Samolot skręcił w prawo. Wyrównałem go mocnem kopnięciem lewej nogi. Ziemia tuż. Samolot lekko dotknął ziemi, poczem natychmiast pochylił się w prawo i wykonał dokładny skręt do tyłu. Rąbłem z całej siły lewą stroną twarzy w szybę. Momentalnie wyłączyłem iskrowniki, aby zapobiedz pożarowi.

"Wysiadać" — krzyknąłem do mikrofonu. W parę sekund samolot był pusty.

Załoga była w porządku. Tylko tylny strzelec miał coś nie w porządku w szyi a ja podbite lewe oko.

MELCHJOR WAŃKOWICZ

DZIEJE RODZINY KORZENIEWSKICH

Korzeniewscy zostali wywiezieni ze Lwowa przez Rosjan w lipcu 1940 r. Po 10-dniowej podróży w zamkniętym wagonie bydlęcym, przybyli do Swierdłowskiej Obłasti pod Uralem. 380 osób "mieszka" w dwu zapluskwionych barakach bez prycz i podłóg.

II

Siedemnastoletnia Hanka wraz z pięćdziesięcioletnim ojcem i Antochą — otrzymali pracę przy ziemnych robotach. Tama była spartolona i należało z powrotem z niej wydobywać glinę z głębokości dwudziestu metrów. Glina tak lgnęła do łopaty, że woleli ją nakładać rękami do niewywrotnej wagonetki, którą trzeba było naładowywać przez wierzch. Pracowali w upale, glina schła szybko i wracali do domu w sztywnej skorupie gliny. Ubrań roboczych nie dawano.

"Potem nas przenieśli na drzewne roboty. Fachowiec drzewny, który był wywieziony wraz z nami, obliczał, że w dolinie gnije narąbanego i naspławianego materjału na 40 miljonów złotych."

Ola z mężem najpierw pracowali przy drodze a potem również przy drzewie. Matka i Jurek byli zwolnieni od roboty ale też nie dostawali pełnej racji. Pełna norma leśna wynosiła osiem i pół rubla dziennie ale jej wyrobić nie mogli. Gdyby wyrobili nawet, toby też na wiele się nie przydało, bo i tak książeczka robotnicza dawała prawo na kupienie maksimum półtora kilograma chleba dziennie na osobę za cenę 1 rubel 35 kopiejek. Matka i Jurek otrzymywali tylko 300 gramów. Dla czytelnika krajów normalnych, gdzie chleb jest dodatkowem pożywieniem — trudno będzie zrozumieć, co to znaczy. Bo poza chlebem nie można było niczego kupić w sklepiku robotniczym. Tylko w socjalistyczne święto pierwszego maja i w rocznicę rewolucji sprzedawano trochę kaszy na osobę.

Ale i to wszystko było teoretyczne. Trust drzewny do którego ich przyłączono, był zbankrutowany, zadłużony u państwa i wobec tego nie otrzymywał żadnych kredytów, bo wszystko co dostarczył, szło na pokrycie zadłużenia i spartolonej tamy. Trust więc nie miał pieniędzy na wypłatę robotnikom ani pozwolenia na ich zwolnienie.

Po upałach nastąpiły krótkie roztopy i nie obejrzeli się, jak przyszła sroga zima uralska.

Hanka ścina toporem ogromne wiekowe drzewa. Pracuje nieraz literalnie po ramiona w sypkich, głębokich śniegach. Wieczorami przy rozpalonem ognisku paruje przez pół godziny. Gorączkuje. Ale regulamin zwalnia od roboty tylko o ile temperatura nie jest niższa niż 38 stopni. Pewnego razu silnie gorączkowała, poszła do doktorki ale okazało się, że ma tylko 37,8 stopni i lekarka uznała zgłoszenie za nieuzasadnione ale wydała kartkę zaświadczającą, że robotnica była u niej.



Obóz wygnańców polskich w Rosji

Rozwścieczony brygadjer skonfiskował kartkę i chciał zapisać t. zw. "progół", to znaczy uchylenie się od roboty bez usprawiedliwienia. Tego rodzaju zapis za pierwszym razem oznacza obniżenie przez pół roku zarobków o 25 procent a przy powtórzeniu się — więzienie.

Głód i tak nękał straszliwie. Zwłaszcza ten Jurek, który przecie rośnie...

Właśnie ma paść olbrzym uralski.

— Storoniś (Umknij!) — krzyczy brygadjer.

— Wszystko mi jedno — mówi rozgoryczona dziewczyna.

Blady — w ostatniej chwili zwrócił jej wyłudzone świadectwo.

Przy ścinaniu pracuje z Tatarem i Tatarką. Tatarce nie dawali ubrania ze składów od lat. Marzła nieludzko. A mrozy były takie, że rąbane drzewo nagle się rozpękało i waliło się w nieprzewidzianą stronę. Był wprawdzie przepis, że przy mrozach ponad 45 stopni drzew się nie rąbie ale go nie przestrzegano.

Tatarka była głucha, zupełnie zdrętwiała z mrozu. No i drzewo ją przytłukło. Wtłoczyli ją do skrzyni, mającej służyć za trumnę. Skrzynia była za krótka, więc trzeba było zgniatać ciało. Siedmioletnie dziecko Tatarki chore na świerzb, skamlało, pętając się między ludźmi. Wszyscy wiedzieli, że musi teraz umrzeć.

Magazynier Dudakow, który utył na okradaniu magazynu (tak i tak skończy się na więzieniu za te czy owe niedokładności), ciągnie tarczątko za ucho i dowcipkuje: "Ech ty—trupeczek". Dziecko patrzy skośnemi oczkami i zdaje się rozumieć. Żona Dudakowa wybucha śmiechem. Ma pasję przychodzić do Hanki i przeglądać grubemi palcami jej fotografje. Oto aleja w Rabce, tego lata kiedy wybuchła wojna. Ona stoi z ojcem w jasnej sukience, ojciec w białych spodniach. Oto ich willa w Katowicach. Pani Dudakowa przegląda te fotografje jak my ilustracje do bajek Andersena.

Po kilku miesiącach oboje Dudakowie zostali aresztowani. Dudakow był na to przygotowany psychicznie.

— Ludność Rosji — wykładał — składa się z tych, którzy siedzieli w więzieniu, z tych, którzy siedzą i z tych, którzy będą siedzieć.

Idzie dzień za dniem. Hanka wciąga na nogi łapcie plecione z kory brzozowej, okręciwszy tęgo nogi szmatami. Wstaje się przed świtem przy kopciuchu wetkniętym w słoik. Pociemku kopnemi drogami brną na robotę trupy za żywa pogrzebane, dla których niema nadziei.

Zaczęto gasić światła. Musieliśmy kończyć rozmowę.

— Mieszkam obok. Dam panu pamiętnik Oli — powiedziała Hanka.

Z zeszytem z szarego ziemistego papieru, na którego okładce były wyrysowane jakieś emblematy sowieckie, jak zwykle napuszone, przyszedłem do swego hoteliku i zapadłem w czytanie dzienniczka Oli — dzienniczka z tamtego świata.

Podaję z niego wyjątki:

30.V. "Jesteśmy dziś poruszeni. Jurkowi ofiarowano posadę pastucha. Będzie zarabiał więcej niż każde z nas, a kto wie czy nie więcej, niż my wszyscy razem. Dostanie 150 rb. miesięcznie i 15 litrów mleka (co przedstawia wartość 45 rubli). Podobno będzie również otrzymywał różne prezenty w postaci jaj, masła czy śmietany od poszczególnych chaziajów. Jurek jest wniebowzięty. Poprostu stoi na głowie! Obiecuje sobie, że zawsze będzie najedzony."

30.VI.41. "Jurek nie otrzymał jednak wymarzonej posady pastucha. Dziecko jak może nam pomaga — nosi drzewo zamożniejszej rodzinie żydowskich wygnańców, rąbie, nosi wodę".

Już mija rok ich pobytu tutaj. 12 czerwca minęła rocznica ślubu Oli.

"Rok gorszy niż rok najcięższego wiezienia (chleb woda, woda-chleb i

tak wkółko) zmógł nas. Praca stała się piekłem, mimo, że wydajność nasza spadła do jednej piątej. Głód jest czemś strasznem! Jakże okropne budzi uczucia, jakże wstrętne myśli! Jeżeli mi Bóg pozwoli wrócić do świata — będę szukać ludzi głodnych.

12.VI. była rocznica naszego ślubu. Tyle miałam na nią planów! Ale przeżywaliśmy tak straszliwe głodowanie, takie wyczerpanie, że trudno opowiedzieć.

Myślałam rano po przebudzeniu, że jednak bardzo się zmieniłam. Nie czułam żalu, że dzień, jak mi się zdawało tak bardzo uroczysty, nie będzie niczem uświetniony, że nie będę miała po nim żadnych wspomnień. Tymczasem mama, moja niezawodna mama, wyczarowała nam do lasu po dwa kawałki chleba i manierkę kawy z mlekiem. Wieczorem odebrałam całą masę życzeń. Jurek nie umiał sobie nic wyobrazić, co się życzy; życzył tylko, żebyśmy już nigdy więcej nie byli głodni."

2.VII.41. Ola cierpi bardzo na newralgję i ma zapalenie nerwu trójdzielczego. Lekarka jej nie zwolniła, tylko dała trzy proszki weronalu... dla zażycia na miejscu pracy, w puszczy, jeśli już nie będzie mogła pokonać bólu.

"Przez cały dzień przeleżałam w lesie nawpół przytomna po dwóch proszkach weronalu (nie miałam zresztą pojęcia, że to weronal), częściowo śpiąc, częściowo płacząc, a stale jęcząc. Deszcz lał jak z cebra. Heniuś pocieszał mnie, że już idziemy do domu ale czyż ta perspektywa przebycia pięciu kilometrów po dzikich bezdrożach z tysiącem przeszkód w postaci drzew poprzewracanych, pni, błot i rzeczułek — mogła mi dodać otuchy?"

"Dawniej nie myślałam nigdy, żeby można było godzinami wyobrażać sobie i marzyć o szafie z białą wyprasowaną (podkreślone w tekście p. m.) pachnącą bielizną, o zapasach mydła, o garnuszkach, rondelkach, rynkach, o serwetkach, obrusach!"

Odtąd już przez cały ciąg pamiętniczka opowieść jest przeplatana... przepisami kulinarnemi, których zbieranie po wygnańcach stało się istną manją głodującej.

6.VII. 41. "Noc dzisiejsza była wprost upiorna. Pluskwy gryzły strasznie; pewno się znów wyroiły. Komary zaś tak cięły, zrobiły taki koncert brzęczący, że do świtu nie mogliśmy zmrużyć oka".

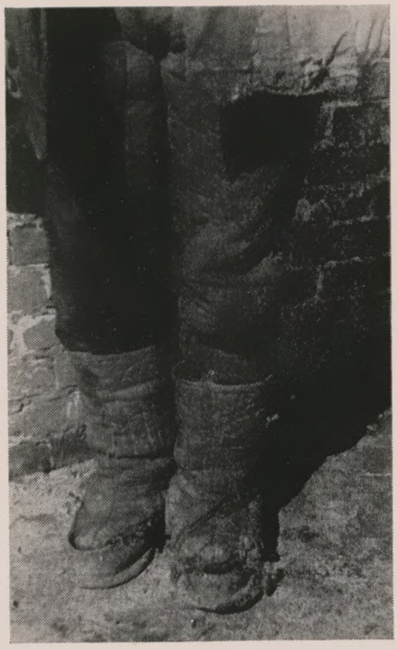
7.VII.41. Mały mężczyzna stara się brać na siebie część brzemienia. "Zawchoz" (kierownik) dał tyle toporów Oli i jej mężowi do ostrzenia, że nie mogli pójść na kolację.

"Topory nowe są takie okropne, że będziemy je wieki całe ostrzyli. Byliśmy też mocno zważeni, dopiero Jurka kolacja wróciła nam humor. Była pyszna: szpinak z pokrzyw i kasza. Dawno się tak nie najadłam."

11.VII.41. Pamiętnik pod tą datą jest wypełniony marzeniami o tem, że podobno t r u s t wypłaci część zaległych poborów, że da jakieś szanse.

14.VII. 41. Marzenia na wypłacenie zaliczki rozwiały się. Natomiast:

"Dziś wprowadzony został dwunastogodzinny dzień pracy. Hanka musi wstawać o 5-ej, żeby o 6-ej wyruszyć na 60-ty kwartak, wracać zaś będzie o ósmej. Nas z chwilą wyzdrowienia



"...i wciąga łapcie, okręciwszy nogi szmatami..."

p. Wnęka czeka to samo. Tymczasem w obecnej sytuacji, której nam wszyscy zazdroszczą, noc nasza będzie się składała w najlepszym wypadku tylko z 4-ch godzin. Ostrzyć topory będzie można najwyżej do dwunastej w nocy, zatem wykańczać bieżącą robotę będziemy musieli od 4-ej rano.

A teraz zagadka — co to jest? "Nie je, nie pije a chodzi i żyje?" Zagadka stara jak świat i żadne dziecko nie miało wątpliwości, że istnieje jedna tylko odpowiedź. Ale istnieje druga odpowiedź na Uralu jedyna (ładniebym się musiała namęczyć, żebym chciała wytłómaczyć np. Rebece Goldberżance, gdy podrośnie, co to jest zegarek!). Tutejsze dzieci na tę zagadkę odpowiadają jednogłośnie: "Uralczyk!"

Obecnie mamy już przed sobą konkretną wizję śmierci głodowej. Nie mogę określić, jak długo będziemy jeszcze chodzili i żyli."

15.VII.41. Przykuci do pracy za którą im nie płacono na skutek zadłużenia t r u s t u u władz centralnych, wygnańcy oczekują t. zw. "wychodnego dnia" czyli dnia wolnego od roboty, aby szukać żywności.

"Wczoraj, ponieważ był w y c h o d n o j , Hanka poszła szukać grzybów, Antosia na pokrzywę a my z Heniem przez cały dzień łowiliśmy ryby na wędkę. Z tego wszystkiego prawdziwą pociechę mieliśmy tylko z grzybów. Rybki były pyszne ale żałośnie mało a szpinak czyli pokrzywa, nagotowana w słonej wodzie bez mąki i masła, była wstrętna. Jedliśmy ją ze szczerego głodu.

Jesteśmy jak te rybki, które łowiłam. Żyjemy jeszcze, mamy nadzieję, że nam ta odrobina wody wystarczy. A koniec?"

16.VII.41. "Stoimy znowu przed perspektywą pójścia do lasu (jakiś czas Ola z mężem miała sobie przydzieloną pracę ostrzenia toporów p. m.) Strach mnie opanowuje! Być wydanym przez 14 godzin na pastwę komarów, much, muszek, bąków, kleszczy i wszelakiego rodzaju robactwa, odbywać codzienny 10-cio kilometrowy marsz po wertepach i przymierać głodem! Nie mam już sił, naprawdę nie mam sił!

Boże, zlituj się nad nami!
Jezu, usłysz nas!
Jezu, wysłuchaj nas!
Bądź nam miłościw,
przepuść nam, Jezu!
Bądź nam miłościw,
wysłuchaj nas, Jezu!
Baranku Boży, który gładzisz
grzechy świata, zmiłuj się nad
nami..."

Zamęczona dusza ludzka w ciągu długich godzin kręcenia kamienia, stara się uciekać w świat marzeń, które po powrocie z roboty zapisuje w pamiętniku. Pamiętnika trzyma się wytrwale — nie chce umierać, chce myśleć, chce sycić się chociaż marzeniem. Te jej marzenia robią czasem wrażenie półmaligny. Rozpisuje się, jakie będzie miała suknie, serwety do kawy, jak będzie robić bardzo ciepłe rękawice dla pracujących na mrozie, jak siedząc w wygodnych fotelach będą robić z mężem zabawki na choinkę dla ich dziecka. Te marzenia są podane z najdrobniejszymi detalami. Kończą się jednak zawsze tak, że wdziera się nagła świadomość:

"Źle jednak, jeżeli w czasie takich marzeń spojrzę na Henia, mojego drogiego wychudłego biedaka, z podkrążonemi oczami i zatroskanem spojrzeniem. Wiem, że jest głodny, stale głodny i wiem też, że równocześnie w domu wymizerowana do ostateczności mama zachodzi w głowę, skądby nam wydostać kawałek chleba. Wte-

dy lodowata obręcz ściska mi serce i.. tracę wiarę."

18.VII.41. "Wczoraj popołudniu, kręcąc kamień w piłoprawce, zdałam sobie jasno sprawę z tego, że zbliża się nasz koniec. Jesteśmy wymęczeni bezgranicznie i nie do opisania głod ni! Pracowaliśmy do 11-ej w nocy i do 11-ej płakałam z rozpaczy nad mamą, która leży chora i męczy się nieludzko, wiedząc, że do jutra nie zdobędziemy już ani kopiejki na chleb i że Hanka pójdzie na cały dzień do lasu bez jedzenia a i dla nas niema lepszych widoków. Modliłam się żarliwie o jakiś cud a równocześnie w skołatanej głowie szukałam możliwości zdobycia chociażby jednego rubla. Henuś pracował z zaciśniętemi zębami. Kilka razy, gdy się spotkały nasze spojrzenia, mówił cicho ale z taką skargą bolesną, że nie zapomnę tego do końca życia: "Babuś, ja już nie mogę!!" Byłam taka udręczona, taka umęczona... Ponieważ nie mogłam się wypłakać dobrze ze względu na piłoprawów (p. m. — robotników-niewolników przy ostrzeniu toporów), przez cały czas okropny skurcz ściskał mię za gardło. Równocześnie chwilami zdawało mi się, że lada moment stracę przytomność: przedmioty troiły mi się przed oczami, zdawało mi się, że krew to odpływa mi od mózgu, to znowu gwałtownie uderza i to specjalnie do uszu.

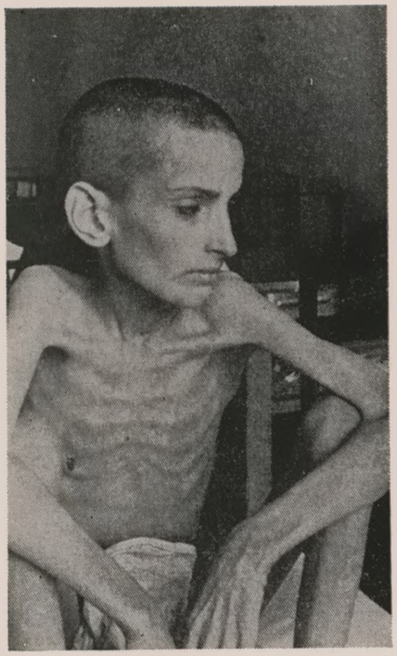
I Bóg sprawił cud. Wieczorem Fiedienow wziął od Dubakowa 500 rb. i dawał awanse (p. m. — awanse na dawno zaległą wypłatę). Dostaliśmy na 7 osób 15 rb. Dzisiaj na śniadanie i obiad poszło 9 rb. Antosia zarobiła na grzybach 4 rb. Może p. Bocheńska sprzeda moją bluzkę rumuńską. Jutro jest "wychodnoj" — postaram się znaleźć siły i iść na ryby."

22.VII.41. "Od dwóch dni pracujemy znowu w lesie. Nie chcę pisać o brudnych metodach i brudnych ludziach. Zresztą to wszystko już jest bez znaczenia. Głód dochodzi do szczytu. Pisząc to, zdaję sobie sprawę, że niebawem głód ten będzie nam się wydawał ideałem, szczytem marzeń. Z dnia na dzień odwlekają wypłatę. Dzisiaj w nocy może dostaniemy jakieś awanse. Nowy naczelnik, zastępca Rożenki, powiedział nam dzisiaj, że wniesiono podanie o umorzenie długu, jaki ma trust — u państwa. W najbliższych dniach zatem albo trust zostanie rozwiązany, albo doczekamy się nareszcie wypłat. Tak on mówi.

Ludzie są w rozpaczy i w większej części zdeterminowani."

24.VII.41. "Wieczorem przyjechał kasjer i wypłacił 30 procent dwutygodniowego zarobku. Straciliśmy noc, ale za to mamy w kasie 50 rb. Właściwie nie tyle mamy, ile mieliśmy o godzinie 1-ej w nocy. Rano wykupiliśmy chleb oraz — w stołówce była kasza perłowa — każdy z nas zjadł po jednej porcji. Do lasu dała nam mama również jedną porcję kaszy."

26.VII.41. "Partja uchwaliła, że robotnicy nie będą mogli kończyć pracy, dopóki nie wykonają normy. 11-togodzinny dzień pracy przysługuje zatem tylko stachanowcom. Wszyscy słabsi robotnicy obowiązani są pracować aż dopóki można, t. zn. do zapadnięcia ciemności.



"...mamy przed sobą wizję śmierci głodowej..."

"......Główną obawą moją było, że pokój może być zawarty kosztem Polski. Nie miałem o to pretensji do walczących państw, bo przecież musiały dbać o własną skórę, nie o Polskę im oczywiście chodziło. Jedynym krajem, który przystępując do wojny, otwarcie się za nami wypowiedział, była Ameryka w słynnej wilsonowskiej deklaracji 14 punktów."

Józef Piłsudski
"Pisma, mowy, rozkazy"

Z dnia na dzień oczekuję objawów ostatecznego wyczerpania spowodowanego głodem. Henuś uporczywie twierdzi, że napewno w końcu ulegnie atakowi wścieklizny, ja natomiast przypuszczam, że niebawem będę popadała w uporczywe omdlenia. Przez cały dzień a nawet w nocy, gdy usiądę na pryczy, mam zawroty głowy. chwilami robi mi się czarno przed oczami, chwilami wszystko się troi i tańczy.

Nie mając gorączki, nie mam również prawa do lekarskiej opieki, nie mam również jedzenia jako lekarstwa, ani jedzenia jako jedzenie. Ponadto muszę rąbać las, prowadzić walkę z kornikami, korując wszystkie drzewa oraz wypełniać normę ustaloną dla silnego, zdrowego, dobrze odżywionego mężczyzny".

Ojcze nas, któryś jest w niebie...
Przyjdź Królestwo Twoje,
bądź wola Twoja.. na ziemi..
Chleba naszego powszedniego
daj nam dzisiaj
Odpuść nam nasze winy.
Zlituj się nad nami."

I zaraz bezpośrednio, zamglonem pismem bladego ołówka:

"Torcik czekoladowy .

10 dkg. czekolady utrzeć z 10 dkg. masła i 10 dkg. cukru. Pianę z 6 białek utrzeć na śnieg, dodać 10 dkg. mąki, wymieszać z masą — piec. Polać glazurą czekoladową."

A potem szeregi innych przepisów: ogórki marynowane p. Nidenthalowej; tort p. Nieciengiewiczowej; nadziewanka do biszkoptów "Delikatna Pycha"; nalewka wiśniowa "Pani Marja" i t. d.

27.VII.41. "Niedziela... Boże, czy to słowo nie jest ironją! Wczoraj w lesie odrąbałam sobie czubek palca wraz z paznokciem. Ręce miałam brudne, niemożliwie oblepione żywicą, od korowania i nie miałam odwagi pójść do lekarki na opatrunek. Palec strasznie mi dokuczał, zwłaszcza, gdy rąbałam toporem. Gdy zapadły ciemności i skończyliśmy pracę, poszłam do wraczki (p. m. "lekarki") ale okazało się, że nie ma żadnych środków opatrunkowych."

Dalej powiada, że wczoraj były imieniny Hanki i jak matce udało się dostać dla niej jedno jajko i kubek zsiadłego mleka i jak była szczęśliwa, że mogła uczcić imieniny najmłodszej córki.

Ową niedzielę wykorzystali jak tylko mogli. Od świtu matka, Ola i Hanka aż do mroku były na grzybach i nazbierały za trzy i pół ruble. Mąż Oli nałapał rybek za rubla.

(Dalszy ciąg nastąpi)

IRENA PIOTROWSKA

SZTUKA POLSKA W MUZEACH AMERYKAŃSKICH

Amerykańskie zbiory publiczne, muzea, galerje i bibljoteki, powstają zazwyczaj na podstawie prywatnych fundacyj i — w przeciwieństwie do stosunków, jakie panowały w Polsce przedwojennej — utrzymują się z kontrybucyj prywatnych osób. Nawet piecza nad zabytkami sztuki amerykańskiej dawnych stuleci, historycznie i artystycznie niekiedy wprost bezcennymi, polega głównie na inicjatywie jednostek. Bogate zbiory niezliczonych instytucyj naukowych i artystycznych Ameryki zawdzięczają swe istnienie głównie darom. Zarządy muzeów zapełniają jeno luki w tych zbiorach. Wynika stąd, że jedynie od nas samych zależeć będzie, czy działy polskie w instytucjach kulturalnych Ameryki będą bogato wyposażone, czy też zaniedbane. A przecież obrazy, rzeźby i ryciny polskie, oraz wzory polskiej sztuki stosowanej w galerjach amerykańskich są ważnym rodzajem propagandy polskiej, może nawet najskuteczniejszym, bo najbardziej przekonywującym. Ilość dzieł sztuki i zabytków polskich w zbiorach amerykańskich będzie w stosunku prostym do ilości darów, złożonych przez Polaków czy też przez przyjaciół Polski zbiorom Ameryki.

Większość narodowości systematycznie zasila swe działy, o czem łatwo się przekonać przejrzawszy rozmaite biuletyny, wydawane miesięcznie lub kwartalnie przez bibljoteki i muzea. Przed wojną wyróżniały się w tej dziedzinie Niemcy, Japonja, Węgry, Włochy i Sowiety. Od lat istnieją rozmaite organizacje narodowe na terenie Ameryki, których szczególnem zadaniem jest zasilanie własną sztuką zbiorów amerykańskich drogą darowizn lub też dłuższych depozytów. Pomijam tutaj imponujący Instytut Francuski w Nowym Jorku, posiadający swoją własną, bogato wyposażoną galerję, który w czasach pokojowych sprowadzał na swe wystawy bieżące eksponaty aż z Luwru. Lecz weźmy pod uwagę towarzystwo "Friends of German Art in New York", które dba o działy niemieckie w tutejszych muzeach i które m. in. zaofiarowało Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku model Norymbergji, przedstawiający to miasto tak, jak ono wyglądało w r. 1620. Model ten wykonano pod fachowym nadzorem w Berlinie w skali 1:500. Jak pięknym darem dla tegoż muzeum byłby model Warszawy sprzed września 1939 r., albo też z czasów Stanisława Augusta, odtworzony na podstawie licznych widoków warszawskich Canaletta i innych. — Rozdawaniem darów rosyjskich zajmuje się od dawna "The U. S. S. R. Society for Cultural Relations with Foreign Countries"—a temu towarzystwu idą z pomocą liczne osoby prywatne.



Matka Boska z Dzieciątkiem



Święty Jerzy

Polska podobnego stowarzyszenia ani nie posiada, ani nigdy nie posiadała. Toteż dzieł sztuki polskiej w zbiorach amerykańskich jest uderzająco mało. Charakterystyczne przytem jest to, że nieliczne prace polskie, spotykane tu i owdzie po zbiorach publicznych Ameryki, powstały z darów prywatnych zbieraczy amerykańskich. Kilka lat temu rozesłałam kwestjonarjusz do 285 muzeów w Ameryce z zapytaniem, czy i jakie dzieła sztuki polskiej posiadają i jaką drogą dostały się one do danych kolekcyj. Oczywiście spisu dzieł sztuki polskiej w zbiorach amerykańskich, opracowanego na podstawie odpowiedzi uzyskanych zapomocą kwestjonarjusza, nie można uważać za wyczerpujący, bo spis ten wymaga jeszcze dużo uzupełnień. Niemniej nawet ten niekompletny spis rzuca ciekawe światło na ilość i jakość dzieł sztuki polskiej w galerjach amerykańskich, wykazując chociażby, że dzieła te są rzadko pierwszorzędnej jakości i że nie rzucają należytego światła nawet na ułamek dziejów sztuki polskiej.

Według dotychczasowych danych statystycznych, z 285 tylko 32 galerje posiada przykłady sztuki polskiej. Większość z tych galeryj posiada po jednym egzemplarzu sztuki polskiej, niektóre dwa lub trzy. Kilka większą ich ilość. Do tych wyjątków należy dział graficzny New York Public Library i Metropolitan Museum of Art. Biblioteka Publiczna w Nowym Jorku posiada duży zbiór nowoczesnych drzeworytów polskich, które częściowo nabyła z okazji wystawy grafiki polskiej urządzonej w r. 1933 w Roerich Museum w Nowym Jorku, a częściowo uzyskała je bezpośrednio od artystów polskich, którzy z pełnem zrozumieniem sprawy prace swe dla New York Public Library w darze nadesłali. Metropolitan Museum zaś posiada, obok cennych eksponatów w dziale broni, 20 złotolitych, jedwabnych pasów polskich z 18 w. pochodzących, których większość została nabyta przez muzeum w r. 1911 zapomocą Rogers Fund.

Osobny problem przedstawia Brooklyn Museum w Nowym Jorku, — które obok działu sztuki czystej, czyli malarstwa, rzeźby i grafiki — posiada olbrzymie zbiory przemysłu artystycznego wszystkich czasów i narodów a między innemi, sztuki ludowej. Spodziewaćby się należało, że w tym dziale europejskiej sztuki ludowej w Brooklyn Museum zajmuje Polska jedno z naczelnych miejsc ze względu na oryginalny, niezrównany charakter swej sztuki w tej dziedzi-

nie. Tymczasem tak nie jest. Brooklyn Museum posiada przedewszystkiem wspaniałą kolekcję ludowej sztuki rosyjskiej z 17. i 18. wieku, zajmującą dwie sale, darowaną w r. 1931 przez Mrs. Edward Harkness. W tym samym dziale europejskiej sztuki ludowej znajdują się nadto ludowe lalki, stroje, kołyski, koronki i skrzynie — greckie, portugalskie i włoskie, znajduje się dosłownie kilkadziesiąt bogato haftowanych koszul słowackich oraz kilkanaście niezmiernie cennych kostjumów węgierskich. Lecz nie znajdujemy tam ani jednego stroju polskiego. Z dziedziny polskiej sztuki ludowej posiada Brooklyn Museum na własność jedynie reprodukcje — i to bardzo słabe — kilku najtypowszych strojów polskich przedstawionych na dwóch kolorowych fryzach papierowych.

Jeżeli znalazł się bogaty mecenas czechosłowacki, który pamiętał o tem, aby Czechosłowacja była należycie reprezentowana w dziale sztuki ludowej Brooklyn Museum, jeżeli znalazł się taki mecenas węgierski, włoski i portugalski, dlaczego nie znalazł się takiż mecenas polski, któryby darował muzeum w Brooklynie chociażby jeden strój polski?

W części poprawiła sytuację Marja Werten, tak bardzo zasłużona w dziedzinie propagandy sztuki polskiej w Ameryce — obecnie wykładająca w szkole artystycznej w Los Angeles. Mianowicie z nastaniem wojny złożyła w depozyt Brooklyn Museum najpiękniejsze eksponaty ze zbiorów sztuki ludowej, przywiezionych przez siebie w r. 1933 w celach wystawowych. W ten sposób uzyskała dla tych eksponatów odpowiednie schronienie na czas wojny i fachową nad nimi opiekę, a równocześnie uprzystępniła je licznym rzeszom zwiedzających muzeum. Eksponaty te obejmują drewniane świątki ludowe, obrazy malowane na szkle, pochodzące z początku ubiegłego stulecia, ceramikę z rozmaitych okolic Polski, krzyże huculskie, liżniki podhalańskie, przeliczne wzory tkanin i haftów polskich oraz lalki w strojach ludowych artystycznie i wiernie wykonanych w Polsce przez Janinę Wasiewicz. Eksponaty polskie w dziale ludowym Brooklyn Museum nie dorównują wprawdzie ilościowo zbiorom sztuki ludowej innych narodów reprezentowanych w muzeum, zato artystycznie stoją bardzo wysoko. Spośród kolekcji Marji Werten wybierał je osobiście dyrektor muzeum, którego znawstwo polskiej sztuki ludowej jest wprost imponujące i mogłoby zawstydzić niejednego Polaka. Z największą łatwością rozpoznawał on utwory prawdziwie chłopskie od ich imitacyj, czy też od utworów nowoczesnego przemysłu artystycznego, wykonanych pod wpływem sztuki ludowej. Od jednego wejrzenia odróżniał rzeczy stare od rzeczy nowych, rzeczy pierwszorzędne od drugorzędnych. Nie powinno nas to zadziwiać. Od kilkunastu lat amerykańscy krytycy i historycy sztuki "odkrywają" swą własną sztukę ludową, odnajdują i otaczają szczególną opieką stare prymitywne malowidła, meble i naczynia z epoki kolonjalnej i z 19 w. wykonane przez prostych rzemieślników i farmerów w środowiskach zdala położonych od miast amerykańskich. Oko amerykańskiego znawcy sztuki wydoskonaliło się w rozpoznawaniu tego, co proste, szczere, z prawdziwego ukochania piękna wykonane przez lud, od tego co bez zrozumienia zasad sztuki ludowej wyprodukowane na handel przez jej naśladowców.

Ważną część polskich eksponatów złożonych przez Marję Werten w depozyt Brooklyn Museum, stanowią drzeworyty ludowe, w większości z połowy 19 wieku pochodzące, przejęte przez dział graficzny tegoż muzeum. Te właśnie ryciny złożyły się przedewszystkiem na wystawę polskich drzeworytów ludowych, jaka odbyła się w grudniu w Art Institute w Chicago i wzbudziły powszechny zachwyt znawców (patrz ilustracje).

Wśród zbiorów publicznych Ameryki, zawierających zabytki polskie, najważniejszem i niewątpliwie jedynem w swoim rodzaju jest Muzeum Polonii w Chicago. Zbiory sztuki polskiej, drogą darów, jak wszędzie w Ameryce, zebrane przez to muzeum, są tak rozliczne, że wymagają osobnego opracowania. I należy podkreślić, że chociaż Polacy nie powinni zapominać o działach polskich w muzeach amerykańskich wogóle, dział artystyczny w Muzeum Polonii powinien cieszyć się ich szczególną opieką, aby mógł stać się wzorem dla działów plskich w muzeach ogólnoamerykańskich.



Piękno folkloru polskiego: Stroje śląskie

Prosimy o odnowienie prenumeraty „Tygodnika Polskiego" za rok 1944

WOJCIECH ŚWIĘTOSŁAWSKI

Z CZEM ZACZĘLIŚMY BUDOWAĆ POLSKĘ

W pierwszym fragmencie swego cyklu o odbudowie Polski prof. Świętosławski zwrócił uwagę, jaki skarb posiadamy w inżynierach polskich ocalałych od zawieruchy wojennej.

II

Lata gorączkowej i wytężonej pracy nad uprzemysłowieniem Polski nie są dotychczas należycie ocenione ani przez społeczeństwo polskie, ani też przez zagranicę. Rozpocząć musieliśmy pracę od podstaw. A więc zorganizowaliśmy przede wszystkiem Politechnikę Warszawską i Akademję Górniczą w Krakowie. Odbyło się to w części kosztem ofiar poniesionych przez Politechnikę Lwowską. Na szczęście do grupy profesorów lwowskich, którzy opuścili Lwów, aby pracować w Warszawie lub w Krakowie, dołączyły się dość liczne siły z zagranicy.

Politechnika warszawska stała się wkrótce jedną z największych uczelni tego rodzaju na kontynencie Europy. Politechnika lwowska niewiele odbiegała od swej siostrzycy, zwłaszcza, jeżeli wziąść pod uwagę szczupłość pomieszczeń, zakrojonych kiedyś na kilkuset studentów a nie blisko trzy tysiące, jak to było w latach 1934-1939.

Być może, że chęć dania krajowi najlepiej przygotowanych inżynierów sprawiła, że programy obu politechnik były bardzo przeładowane. Wymagały one od 9 do 12,000 godzin pracy od przeciętnego zdolnego ucznia, aby ukończył kurs politetchniki. Dla orjentacji należy nadmienić, że młodzież może efektywnie pracować umysłowo od 2,000 do 2,200 godzin rocznie. Ponieważ jednak trzy czwarte studentów musiało pracować zarobkowo, nic więc dziwnego, że studja przeciągały się znacznie ponad czas zakreślony przez program i studenci nasi kończyli studja w wieku późniejszym aniżeli ich koledzy zagranicą. Faktem jest jednak, że uczelnie techniczne w Polsce wypuszczały inżynierów doskonale przygotowanych do pracy zawodowej.

W latach od 1919 do 1937 włącznie wydano ogółem około 8,400 dyplomów inżynierskich.

*

Aby zdać sobie sprawę z rozmiarów zniszczeń wojennych w latach 1914-1918, dość jest wspomnieć, że w r. 1919 eksport towarów z Polski wynosił zaledwie 5 procent wartości towarów do Polski sprowadzonych. Stosunek ten ulegał stopniowej poprawie w miarę odbudowy naszych warsztatów przemysłowych oraz powstawania nowych wytwórni.



Politechnika lwowska

Szereg fabryk, zwłaszcza w okręgu przemysłowym łódzkim, niszczony był przez Niemców z całą systematycznością. Demolowano np. kosztowne maszyny drukarskie w fabrykach drukowania tkanin pod pozorem wyjęcia kawałka mosiądzu, ważącego niecałe pół funta. Przemysł chemiczny istniejący w Pabjanicach i Zgierzu zniszczono kompletnie, nie oszczędzono nawet fabryk kwasu siarkowego i t. p.

Wobec grozy wojny z bolszewikami zdani byliśmy w r. 1919-1920 na łaskę i niełaskę Francji. Na terenie ziem polskich nie posiadaliśmy żadnych fabryk broni a przed wojną inżynierowie polscy nie mieli dostępu do fabryk broni i amunicji.

Nie lepiej przedstawiał się przemysł kauczukowy, potrzebny również do obrony kraju. Nie mieliśmy ani specjalistów, ani fabryk, mogących w jakikolwiek sposób sprostać zapotrzebowaniom.

Wielkie piece, produkujące żelaziwo, względnie surówkę do produkowania żelaza i stali, korzystać musiały z koksu zagranicznego. Węgiel dąbrowski i krakowski nie nadawał się do koksowania. Dopiero przyłączenie części Śląska umożliwiło korzystanie z koksu polskiego w metalurgji. Importowaliśmy jednak zawsze pewną ilość koksu dla celów metalurgicznych.

Na obszarze Polski w r. 1919 nie mieliśmy ani jednej fabryki kwasu azotowego oraz azotowych nawozów sztucznych. Po przyłączeniu Śląska objęliśmy w posiadanie wielką fabrykę nawozów sztucznych w Chorzowie. Niemcy jednak zabrali ze sobą wszystkie rysunki techniczne i schematy produkcji a dyrekcja fabryki pewna,

że w podobnych warunkach niepodobna jest uruchomić wielkiej tej wytwórni, oczekiwała w Bytomiu na wieści, że w fabryce nastąpił wybuch, który ją doszczętnie zniszczył lub conajmniej poważnie uszkodził. Wówczas to zjechał do Chorzowa prof. Ignacy Mościcki ze sztabem swoich asystentów i zaawansowanych studentów i po tygodniu fabryka ruszyła a w parę miesięcy później, dzięki wynalazkowi prof. Mościckiego, powiększono znacznie wydajność fabryki przez udoskonalenie pieców elektrycznych, będących podstawą produkcji fabryki chorzowskiej.

W stanie niesłychanego zniszczenia i zaniedbania znajdowały się w r. 1918 warsztaty kolejowe, tabor i tory kolejowe. Kierownicy warsztatów głowili się nad tem, jak prowadzić w nich remonty a było to w czasie, gdy liczba parowozów potrzebujących naprawy oraz wagonów, wymagających kapitalnego remontu, wzrastała niepomiernie z dnia na dzień.

*

Takie to były warunki, w których inżynierowie nasi rozpoczęli syzyfową pracę nad odbudową Polski po zniszczeniach wojennych lat 1914-1918.

W okresie od 1918 do 1923 r. nie mieliśmy również żadnych nadziei na szybkie wypuszczenie nowych sił inżynierskich. Młodzież politechniczna i uniwersytecka walczyła do końca 1920 r. w szeregach tworzącej się dopiero armji o granice państwa, zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie. Liczni profesorowie, którym wiek na to pozwalał i wszyscy asystenci wstąpili również jako ochotnicy do wojska.

Gdy wreszcie w grudniu r. 1920 młodzież i personel wykładający zaczęli wracać, uczelnie nasze stanęły wobec nowych trudności. Uposażenie zakładów naukowych było więcej niż skromne, brakło miejsca w kreślarniach, bibljoteki były wywiezione, lub zdekompletowane, brakło literatury ogłoszonej w czasie wojny. Sporo czasu przeszło zanim zdołano brakom tym zaradzić. Jedyną myślą całego personelu nauczającego było wypuszczenie jaknajwiększej liczby dobrze przygotowanych inżynierów w czasie jaknajkrótszym.

JAN KASPRZAK

DOKUMENT SYCYLIJSKI W SPRAWIE PRUS WSCHODNICH

Pojawienie się Krzyżaków na ziemiach polskich jest dotychczas powszechnie przedstawiane jako przedewszystkiem wynik specjalnych zachodów księcia Mazowieckiego, Konrada. W tem świetle, zakonnicy niemieccy mieli przybyć, aby pomagać zagrożonemu przez barbarzyńskich Prusów księciu polskiemu, wzamian za co on ofiarowuje im ziemię Chełmińską i skrawek ziemi Kujawskiej. W rezultacie tego rodzaju wyjaśnień otrzymujemy obraz Krzyżaków z omawianego okresu jak niemal dobroczyńców, ratujących polskiego księcia przed katastrofą. Zagadnienie, rozwijające się w płaszczyźnie szeroko zakrojonej akcji politycznej, której aktorami były dwie decydujące potęgi średniowiecza, papiestwo i cesarstwo niemieckie, zostało sprowadzone do rozmiarów zwykłej wymiany usług między zakonem niemieckim, a księciem Mazowsza.

Celem właściwego przedstawienia sprawy pojawienia się Krzyżaków, będącego wstępem do założenia późniejszego państwa pruskiego, przypomnijmy odnoszące się do niej fakty historyczne.(1)

Specjalnego posmaku nabiera obecnie fakt, że pierwszy akt, wiążący interesy cesarstwa niemieckiego ze sprawą podboju Prus przez Krzyżaków, został wydany w roku 1224 na Sycylii w tak zaciekle niedawno przez Niemców bronionej, Katanji. Był to t. zw. "bałtycki manifest" cesarza niemieckiego, Fryderyka II Hohenstaufa. W manifeście tym cesarz niemiecki apeluje do wszystkich książąt i wiernych cesarstwa, aby zwrócili uwagę na ludy krajów "Liwonii, Estonii, Sambilandii, Prus, Semigalii i prowincji sąsiednich". Ludom tych krajów zapewnia opiekę cesarstwa i wzywa je do posłuszeństwa. Równocześnie uwalnia je z pod opieki i władzy ich własnych książąt i królów oraz przyrzekał, że majątki ich i przywileje pozostaną nienaruszone.

Manifest z Katanii jest zapoczątkowaniem przez cesarstwo niemieckie okresu podboju Prus, jako dalszego etapu zmierzającego do osaczenia i opanowania Wschodu Europy. Cesarz niemiecki, zajęty utrwalaniem swych wpływów na zachodzie i południu Europy, czuwa równocześnie, jak widzimy, nad powodzeniem tradycyjnego już wówczas "Drang nach Osten", w wyniku którego po wytępieniu plemion słowiańskich nad Łabą, panowanie niemczyzny sięgało już słowiańskiej rzeki Odry.

Za współautora manifestu cesarskiego jest uważany wielki mistrz zakonu niemieckiego P. Marji, Herman von Salza, cieszący się wyjątkowem zaufaniem cesarza i używany przez niego do szeregu misji specjalnych, m. in. także do papieża. Niebywale obrotny, przebiegły i konsekwentny oraz dobrze zorjentowany w celach politycznych cesarstwa, musiał on widzieć korzyści, płynące z udziału zakonu krzyżackiego w akcji podboju Wschodu Europy dla Niemiec. Czy Hermann v. Salza, jak chcą niektórzy badacze, był inicjatorem planu pruskiego, czy też tylko umiejętnie łączył interes swego zakonu z aktualnym wówczas planem cesarskim, pozostaje sprawą drugorzędną. Nie ulega bowiem wątpliwości, iż ten tak bardzo niemiecki polityk, przejęty był do głębi duchem imperializmu cesarstwa niemieckiego.

Widząc sprawę Prus związaną ściśle z politycznymi celami cesarstwa, Hermann v. Salza musiał sobie jednak uświadamiać, iż akt cesarski jest wymierzony przeciw interesom papiestwa i krajów sąsiadujących z Prusami. Nawracanie Prus trwało już przecież zgórą dwa wieki i w pierwszym rzędzie było popierane przez władców polskich. Dość wspomnieć choćby misję św. Wojciecha oraz zainteresowania Bolesława Chrobrego i książąt polskich, a później także pomorskich. Dziełu nawracania Prus patronował pozatem zawsze Rzym, uważający się za naturalnego opiekuna ziem, pozyskanych dla chrześcijaństwa raz terenów misyjnych. Tymczasem akt cesarski odsłaniał brutalnie właściwe zamiary zaborcze, nie liczące się ani z dotychczasowymi zwyczajami, ani z istniejącym stanem prawnym. Na domiar złego manifest katański ukazał się w formie w jakiej były pisane bulle papieskie, co dawało do zrozumienia, że cesarz w ten sposób samowolnie przypisuje sobie uprawnienia papieża do krajów nadbałtyckich. W stosunku do Polski wspomniany manifest był aktem bezceremonialnego bezprawia, gdyż nie stała ona wówczas w żadnym stosunku zależności od cesarstwa niemieckiego. Hermann v. Salza był

---

(4) v. Preussisches Urkundebuch, Politische Abteilung, Bd. 1 str. 38 i nast.; Monumenta Poloniae Vaticana, Pol. Akad. Umiej. Kraków; The lives of the popes — H. K. Mann; K. Tymieniecki: Znaczenie polityczne sprowadzenia Krzyżaków; E. Caspar: Hermann v. Salza und die Gruendung des Deutschorden Staats; i. in.

zbyt przewidującym, aby tych trudności nie widzieć. Stara się więc wszelkiemi siłami pozyskać dla swoich celów papieża, a równocześnie uśpić czujność książąt polskich. Wobec papieża Krzyżacy występują oczywiście jako gorliwi misjonarze, przejęci jedynie troską o zbawienie dusz pogan i własnych. Aby zaś wykazać, jak realne są ich plany misyjne, powołują się na rzekomo zupełnie konkretne przyrzeczenie nadania im przez księcia Konrada ziemi Chełmińskiej, do czego wówczas nie mieli jeszcze dostatecznych podstaw. Konradowi skolei dowodzą konieczności nadania im ziemi, tłumacząc, iż w w razie jego odmowy, tak pożądana przez Rzym i cały świat chrześcijański akcja misyjna skończy się niepowodzeniem. Któż byłby odpowiedzialny za to niepowodzenie, jak nie chrześcijański książę polski? Presję na księcia Konrada wywierali Krzyżacy także za pośrednictwem biskupa mazowieckiego, Guenthera oraz biskupa pruskiego, Christiana który spodziewał się po zakonnikach niemieckich pomocy w pracy misyjnej, a który umrze później ze zgryzoty i zmartwień, wydziedziczony i oszukany przez tychże Krzyżaków. Konrad, mimo uległości wobec Kościoła oraz mimo trudności, w jakich się znajdował, z nadaniem ziemi zwleka uporczywie.

Tymczasem Hermann v. Salza, wobec poprawy stosunków cesarza z papieżem, do czego osobiście się przyczynił, uznaje manifest katański za niewystarczający. Tłumaczy cesarzowi potrzebę wyraźniejszego sprecyzowania tendencyj wspomnianego aktu. W roku 1226 uzyskuje od Fryderyka II nowy dokument w Rimini, we Włoszech. Cesarz znowu stwierdza, że Prusy znajdują się pod jego zwierzchnictwem, a następnie nadaje Hermanowi v. Salza, którego nazywa "księciem cesarstwa niemieckiego", prawo wkraczania do Prus z wojskami zakonnemi oraz potwierdza nadane zakonowi ziemie w przeszłości, jak i te, które zdobędzie w przyszłości. W dokumencie jest mowa również o władzy sądowej, ustawdawczej i administracyjnej zakonu. Przyrzeka cesarz także pomoc pieniężną.

Dokument z r. 1226 zawiera już konkretny plan nowego państwa niemieckiego, zależnego od cesarstwa. Jest to akt zaborczy, niweczący ówczesny układ stosunków politycznych i oparty jedynie na mistycznych pretensjach cesarstwa niemieckiego do panowania nad całym światem. Jako taki jest uznawany ten akt przez późniejszych kronikarzy, z pośród których jeden z nich pisze o nim w ten sposób. "Przywilej z bullą złotą Fryderyka Wtórego cesarza pilnie chowali i ukazowali, w którym im potwierdził dzierżawą Kulmińskiej ziemie z Pomorską nadanie, których im nigdy Konradus nie dawał; dla tego potwierdzenie Fryderyka cesarza mało ważyło, gdyż tu żadnej mocy w rozdawaniu tych państw nie miał". (2) Zasługuje jeszcze na podkreślenie fakt, że i w tym dokumencie nie było zupełnie mowy o niebezpieczeństwie ze strony pogańskich Prusów, któremu mieli rzekomo Krzyżacy przeciwdziałać w interesie sąsiadów. Argumentem tym szermują Krzyżacy dopiero później, posługując się przytem zresztą t. zw. dokumentem kruszwickim z r. 1230, znanym jako falsyfikat.

Akt z r. 1226, kreujący mistrza zakonu krzyżackiego na władcę świeckieg ziemi pruskiej, winien był obudzić czujność zainteresowanych książąt. Nie wywołał on jednak żadnej reakcji dla tej prostej przyczyny, że został przed nimi zachowany w ścisłej tajemnicy. Z dokumentem tym wystąpią Krzyżacy dopiero 50 lat później. To też nic dziwnego, że nadal przedstawiają się oni wobec Konrada jak gorliwi misjonarze, polecani gorąco przez Kościół. Konrad jednak nie kwapi się z nadaniem upatrzonej przez Krzyżaków ziemi. Być może dowiedział się już wtedy, że nie tak dawno temu król węgierski, Andrzej, który także dał ziemię Krzyżakom, musiał wreszcie siłą ich wyrzucać, stwierdziwszy niedotrzymanie przez nich umów, fałszerstwa pieniędzy, bezprawne przywłaszczanie sobie ziemi, gwałty, oraz zwykłe kradzieże. Nie długo się już jednak mógł bronić. Popierani przez cesarza i duchowieństwo mieli Krzyżacy zbytnią nad nim przewagę. Dosięgli go wreszcie na Podkarpaciu, w Bieczu, gdzie wtedy przebywa, zajęty sprawą sukcesji o tron krakowski. Wydaje tam Konrad pierwszy dokument w sprawie nadania ziemi Chełmińskiej oraz wsi Orłowa w ziemi Kujawskiej w r. 1228. Dokument ten posiada charakter zwykłego nadania ziemi przez księcia świeckiego dla instytucji duchownej, co w średniowieczu było zjawiskiem powszechnem. Nie było w nim znowu zupełnie mowy o niebezpieczeństwie pruskiem, dla którego zwalczania Konrad miał rzekomo sprowadzić Krzyżaków.

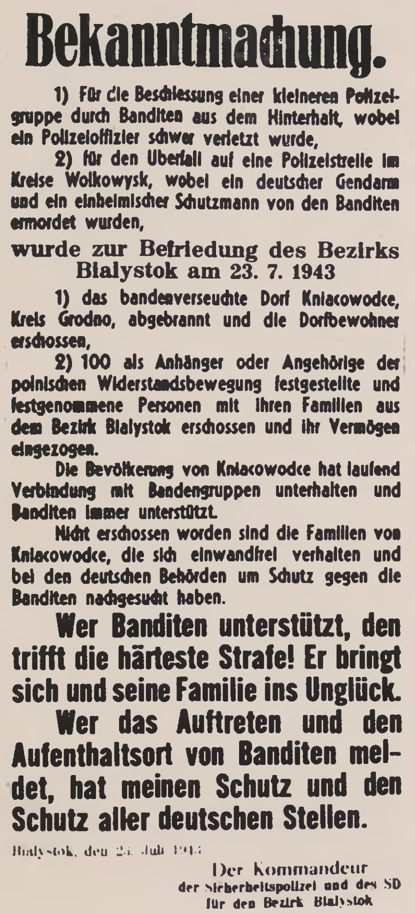
Chytry Hermann v. Salza ukoronował swe dzieło zakładania państwa niemieckiego uzyskaniem w r. 1230 potwierdzenia papieskiego, odnoszącego się do zdobyczy w Prusach. Uwikłany zręcznie papież nie był także w stanie przeniknąć właściwych intencji krzyżackich. Okazał Krzyżakom tyle zaufania, że jakby na ironję, wzywa później Konrada, aby się nimi opiekował i bronił ich przed krzywdami.

W ten sposób zakończył się okres pokojowego nawracania Prus, a zaczęła się tragedja, której ostatniego aktu ponurym bohaterem jest dzisiaj wielki entuzjasta krzyżactwa i prusactwa — Hitler.

Wersja niemiecka, przedstawiająca Krzyżaków jako misjonarzy oraz obrońców nieszczęśliwych sąsiadów posiada wyraźne, do dziś aktualne tendencje. Zgodnie bowiem z odwieczną tradycją polityczną, Niemcy zawsze przedstawiają swe zbrodnie, jako zasługę, misję a nawet świętość. Okrutne wytępienie Prusów wypływało, według Niemców, z wyższego, nieuznającego skrupułów moralnych prawa. Zbrodnię wymordowania Słowian między Łabą, a Odrą przedstawiają jako dzieło przez Boga błogosławione. Tak samo nauka niemiecka uzasadniała rozbiory Polski. Kontynuuje krzyżacki pochód imperjalizmu Hitler, zapatrzony w niedziecką odwieczną "misję dziejową".

(2) Kronika krzyżacka P. Duisburga z r. 1326 wedł. tłumaczenia, zamieszczonego w Kronice M. Stryjowskiego.

OPINJE I ZDARZENIA



Bekanntmachung.

1) Für die Beschiessung einer kleineren Polizeigruppe durch Banditen aus dem Hinterhalt, wobei ein Polizeioffizier schwer verletzt wurde,

2) für den Überfall auf eine Polizeistrelle im Kreise Wolkowysk, wobei ein deutscher Gendarm und ein einheimischer Schutzmann von den Banditen ermordet wurden,

wurde zur Befriedung des Bezirks Bialystok am 23. 7. 1943

1) das bandenverseuchte Dorf Kniacowodce, Kreis Grodno, abgebrannt und die Dorfbewohner erschossen,

2) 100 als Anhänger oder Angehörige der polnischen Widerstandsbewegung festgestellte und festgenommene Personen mit ihren Familien aus dem Bezirk Bialystok erschossen und ihr Vermögen eingezogen.

Die Bevölkerung von Kniacowodce hat laufend Verbindung mit Bandengruppen unterhalten und Banditen immer unterstützt.

Nicht erschossen worden sind die Familien von Kniacowodce, die sich einwandfrei verhalten und bei den deutschen Behörden um Schutz gegen die Banditen nachgesucht haben.

Wer Banditen unterstützt, den trifft die härteste Strafe! Er bringt sich und seine Familie ins Unglück.

Wer das Auftreten und den Aufenthaltsort von Banditen meldet, hat meinen Schutz und den Schutz aller deutschen Stellen.

Bialystok, den 25. Juli 1943

Der Kommandeur
der Sicherheitspolizei und des SD
für den Bezirk Bialystok

Afisz komendantury policji niemieckiej w okręgu białostockim, obwieszczający o spaleniu wsi Kniacowódce i wymordowaniu jej mieszkańców oraz o rozstrzelaniu 100 Polaków z rodzinami podejrzanych o działalność patrjotyczną w organizacjach Polski Podziemnej.

JESZCZE OFIARY KATYŃSKIE

Jak donoszą pisma polskie, wychodzące na Bliskim Wschodzie — wśród oficerów, którzy niewątpliwie zaginęli w Katyniu, znajdowali się wybitni lekarze i uczeni polscy: wielki internista warszawski prof. Antoni Stefanowski i trzej znakomicy psychjatrzy: Dr. Marcin Zieliński, Dr. Jan Nelken i Dr. Stefan Pieńkowski.

Polacy!

Popierajmy wysiłek wojenny Stanów Zjednoczonych walczących o wolność narodów!

NOWA SZTUKA O POLSCE PODZIEMNEJ

W Londynie ukazała się praca, która ze względu na swą treść a przedewszystkiem genezę — powinna wzbudzić żywe zainteresowanie. Są to sceny dramatyczne z życia i walki Podziemnej Polski pióra S. M. Marvey'a i T. Sempa p. t. "Druga Wyspa". Pod temi pseudonimami ukrywają się nazwiska jednego z młodych uczonych polskich i bardzo znanego publicysty i dziennikarza.

Autorom nie chodziło bynajmniej o tworzenie dramatu o bardzo wysokiej skali artystycznej. Cel tych scen dramatycznych jest wybitnie, może nawet wyłącznie propagandowy. Profesorowi uniwersytetu i dziennikarzowi chodziło o wypełnienie luki, istniejącej w literaturze emigracyjnej dziś, gdy Czesi, Norwegowie, Holendrzy, Francuzi zarzucają studja kinematograficzne i dyrekcje teatrów brytyjskich swymi scenarjuszami filmowymi i maszynopisami sztuk dramatycznych. Niektóre z nich, jak np. film z dziejów walki podziemnej w Holandji — obiegają wszystkie ekrany świata. Czesi mają pięć scenarjuszy na temat zabójstwa Heydricha.

Idą filmy i sztuki norweskie. Natomiast literatura kraju, którego walka z Niemcami przewyższa najbujniejszą wyobraźnię, jest na tym odcinku bardzo skąpa.

Sceny dramatyczne pp. Marvey'a i Sempa nie są bynajmniej gorsze od tych filmów z walki czeskiej czy holenderskiej. Natomiast od sztuk wojennych, wystawianych w teatrach londyńskich i mających olbrzymie powodzenie zarówno w stolicy jak i na prowincji — jest "Druga Wyspa" o wiele lepsza. Akcja interesująca, żywa, mająca cechy pewnej sensacji, zwłaszcza dla widza brytyjskiego zawiera fragmenty niespotykane w innych dramatach z dziedziny walki podziemnej okupowanych krajów. — Przy dobrej reżyserji może wywołać silne efekty.

Sceny naszych teatrów żołnierskich, polskie sceny w Ameryce — sztuk dramatycznych, których treścią byłaby walka podziemna w kraju — wprost łakną. Nasza propaganda zagraniczna potrzebuje ich również. Przykład pp. Marvey'a i Sempa powinien znaleźć naśladowców.

...nasza świadomość narodowa jest tem, co nas spaja, jest tem co jest najbardziej w naszej mocy. Jeżeli świadomość ta będzie czemś pozostającem nazewnątrz tych wymagań, jakie stawia życie, jeżeli nie obejmie całego natężenia dzisiejszej kultury, zrośnięci będziemy z sobą w tem, co nas osłabia, nie zaś w tem, co jest naszą mocą.

Stanisław Brzozowski



Groby polskie w Szkocji



Wódz Naczelny, gen. Sosnkowski, w Gibraltarze. Obok niego (z prawej strony) płk. Maciej Iżycki, nowy dowódzca lotnictwa polskiego

CHIŃSKA BROSZURA O POLSCE I KOPERNIKU

W maju 1943 ukazała się w Czungkingu w języku chińskim broszura pt. "Ku uczczeniu czterechsetnej rocznicy Kopernika", wydana przez "Bibliotekę popularyzacji wiedzy", pozostającą pod kierownictwem Wydziału Oświatowego prowincji Secznen.

Na treść broszury składa się pięć artykułów i rozpraw. Pierwsza nosi tytuł: "Duch wolności w systemie Kopernika i w dziejach Polski". Już sam tytuł daje obraz treści artykułu.

Autorem drugiej pt. "Refleksje na temat czterechsetnej rocznicy Kopernika" — jest prof. J. Needham, brytyjski attache kulturalny w Czungkingu. Autor dowodzi, że system Kopernika doprowadził w ostatecznej konsekwencji do obalenia idei "antropocentrycznych", panujących w starożytności i średniowieczu, ukazał bowiem, że ziemia nie jest ani środkiem ani też główną częścią wszechświata.

W trzeciej rozprawce 'Świt nowych czasów" autor wspomina o ważniejszych szczegółach życia Kopernika i o atmosferze naukowej dawnego Krakowa; następnie streszcza system Ptolomeusza oraz zasady wytworzonych przezeń poglądów na świat i opisuje ich zmierzch, wywołany przez teorję Kopernika, w której widzi naukową emanację idei Odrodzenia i główny bodziec późniejszego rozwoju myśli naukowej i filozoficznej.

W rozprawie "Po Koperniku" autor opisuje przewrót w dziedzinie wiedzy i w poglądach na świat na skutek teorii Kopernika.

Część chińską broszury kończy krótki opis uroczystości urządzonej przez społeczeństwo chińskie w celu uczczenia 400-ej rocznicy Kopernika.

Broszura zawiera również angielski przekład wspomnianego artykułu prof. Needham'a.

NOWE DZIEŁO ROSENA

Nasz rodak, świetny malarz religijny zamieszkały stale w Waszyngtonie, twórca m. in. polichromji katedry ormiańskiej we Lwowie, kaplicy na Kahlenbergu i kaplicy papieskiej w Castelgandolfo, Jan Henryk Rosen, przystępuje niezadługo do nowej pracy na wielką skalę. Będzie mianowicie dekorował 14 kaplic nowozbudowanej katedry katolickiej w Toledo, Ohio.

MICKIEWICZ O NIEDOWIARKACH

Adam Mickiewicz wyśmiewając niedowiarstwo, taką kiedyś ułożył anegdotę:

Niedowiarek umarł i znalazł się na tamtym świecie. Tam spotyka przyjaciela, któremu dowodził kiedyś, że niema "drugiego życia". "No więc cóż?" mówi ten przyjaciel "Widzisz, że jednak jest drugie życie!"

A na to uparty niedowiarek: "No tak, ale to już będzie ostatnie".

Kupujcie Amerykańskie Bondy Wojenne

WITOLD GORDON

Ostatnia "Polish Review" przynosi na pierwszej stronie reprodukcję pięknej pracy Witolda Gordona, przedstawiającą Dzieciątko Jezus w kołysce w ruinach zburzonego domu. Rysunek ten przypomnieć powinien tym, którzy o tem zapomnieli, a uświadmić tych, którzy o tem nie wiedzą, że od lat mieszka w Stanach Zjednoczonych doskonały polski artysta-ilustrator, mający za sobą liczne wielkiej klasy prace z dziedziny grafiki i że artysta ten, którego prawdziwe nazwisko brzmi Witold Jurgielewicz wszystkimi węzłami związany z Polską, powinien być teraz bliżej związany z naszem życiem artystycznem na emigracji i wyzyskany lepiej przez naszą propagandę.

KRÓL PIOTR JUGOSŁOWIAŃSKI

Król Piotr jugosłowiański należy najwidoczniej do ludzi, umiejących bronić sprawy, którą uważa za słuszną. Uznając działalność militarną partyzantów Tita, nie ma on bynajmniej zamiaru, mimo wielostronnych presji, odstępować Michajłowicza i okazuje mu w dalszym ciągu zaufanie. Wszystko zdaje się wskazywać na to, że młody rezolutny król jak tylko będzie to możliwe poleci samolotem do swego kraju, stwarzając fakt dokonany, z którym będzie się trzeba liczyć i który może bardzo poprawić na jego korzyść bardzo dziś trudną jego sytuację. Ta odwaga i stanowczość młodeg króla robi w Waszyngtonie i Londynie wielkie wrażenie. Jeszcze raz się ptwierdza, że jeśli dobrze jest rozumnie ustępować, to w pewnych sytuacjach trzeba się też koniecznie "postawić".

Z NOWYCH KSIĄŻEK

W ostatnim okresie ukazało się na rynku amerykańskim szereg książek politycznych, rozpraw, analiz i pamfletów polemicznych. Najciekawsze z nich to: "The Senat and World Peace" Kenneth Colegrove oraz "World Wars and Revolutions. The Course of Europe since 1900", pióra znanego profesora historji na uniwersytecie w Princeton, Dr. Waltera Phelps Halla.

Znani niemiecko-amerykańscy działacze socjal-demokratyczni, organizatorzy wolno-niemieckiego ruchu w Stanach Zjednoczonych "Association of Free Germans, Inc." Gerhart H. Seger i Siegfried K. Marck (pierwszy b. poseł do Reichstagu, drugi b. profesor uniwersytetu w Wrocławiu) wystąpili z nową pracą polemiczną — tym razem w formie książkowej — zatytułowaną "Germany: To Be Or Not To Be?" Książka Segera i Marcka jest w praktyce kondensacją szeregu artykułów obu publicystów, jakie ukazywały się w latach 1940-1943 w nowojorskiej "Die Neue Volkszeitung" w ramach stałej polemiki tego pisma z teorjami lorda Vansittarta.

Na odcinku powieściowym nie zanotowano ostatnio większych zmian. Na czoło t. zw. "best-sellers" wysunęła się bezapelacyjnie "najbardziej amerykańska" powieść "A Tree Grows in Brooklyn" Betty Smith, za nią idą "So Little Time" G. P. Marquanda, "The Robe" L. C. Duglasa, "Apostoł" S. Asza i powieść obyczajowa aktorki nowojorskiej Ilki Chase "In Bed We Cry".

Bostońska firma Little, Brown & Cie wystąpiła z nowem wydaniem "Quo Vadis" Henryka Sienkiewicza w tłomaczeniu J. Curtinne i z ilustracjami z obrazów Howard'a Pyle'a i Everta Van Muyden'a.

PREZYDENT JEANNENEY

Według krążących pogłosek, koła liberalne francuskie, które oparły się współpracy z Niemcami, ale które przeciwne są coraz wyraźniej zarysowującym się tendencjom opanowania przez gen. de Gaulle'a niekontrolowanej władzy, wysuwają jako naczelną osobistość, na wypadek uwolnienia Francji, prezydenta Senatu, Jules Jeannency, jak wiadomo nieustraszenie od pierwszej chwili występującego przeciw Niemcom.

PARTYZANTKA WE WŁOSZECH

Partyzantka działająca na tyłach armji niemieckiej i armji wiernej Mussoliniemu we Włoszech poszczycić się może wieloma rezultatami. Komunikat wydany przez Farinacciego przyznaje, że od 5 do 15 listopada partyzanci w Północnych Włoszech zabili 160 szefów dystryktów faszystowskich i 26 oficerów niemieckich, w tem gubernatora wojskowego Florencji, pułkownika Gobi.

Poza tem zabici zostali przez partyzantów dwaj ministrowie Mussoliniego: Lagnani, minister marynarki i Casanova minister sprawiedliwości.



Z pięknej Warszawy: Wejście do Ministerstwa Spraw Zagranicznych

Z DOWCIPÓW AKTORSKICH

Stary, wielki Bolesław Leszczyński prowadził bardzo szerokie życie, na które żadne pieniądze nie starczały. Stąd też był w ustawicznych finansowych tarapatach, na co radził sobie jak mógł pożyczaniem pieniędzy u kogo się dało. Wyczerpawszy wszelkie możliwe preteksty do pożyczek, wysłał taki oto list do bogatego ziemianina, prezesa Tow. Kredytowego Ziemskiego w Warszawie, Ludwika Górskiego.

"Szanowny Panie Prezesie! Zostałem pokąsany przez psa wściekłego. Potrzebuję na kurację 15 rubli. Jeśli ich do jutra nie otrzymam, zjawię się na posiedzeniu Towarzystwa i pokąsam wszystkich radców."

Z DOWCIPÓW FRANCA FISZERA

Sławnemu z dowcipu Franciszkowi Fiszerowi powiedział kiedyś komedjopisarz Kawecki, że ma nos Dantego. Na to tamten: "Pisz w takim razie nosem".

KSIĄŻKA I ŻYCIE...

Tygodnik "New Statesman" rozpoczął ankietę na temat: "Jaka książka wywarła największy wpływ na moje życie?"

Z angielskich autorów wymieniono Kiplinga, Browninga, Defoego, Carlyle'a, Chestertona, Kingsley'a — z obcych pisarzy Tołstoja, Dostojewskiego, Pascala, Hugo, Goethego, Rilkego, Homera, Londona, Cervantesa i Beacher-Stowe.

Poza normalnemi — napłynęły i inne oryginalne odpowiedzi na ankietę. Oto, co pisali:

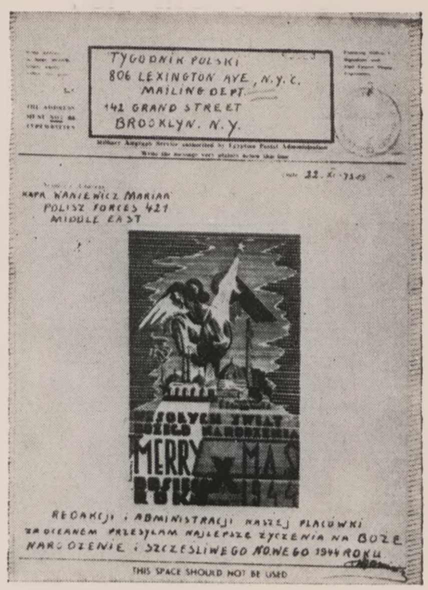
Człowiek ze szpitala warjatów: — "W dzieciństwie upadł mi na głowę 3-ci tom słownika Oxfordskiego, nabawiając mnie, jak twierdzą doktorzy, dożywotnej choroby umysłowej".

Szczęśliwy mąż: "Omyliłem się w książce telefonicznej, zadzwoniłem pod zły numer, umówiłem się z roz kosznym żeńskim głosikiem i — znalazłem szczęście w małżeństwie."

Spokojny kupiec: "Karol May przekonał mnie, że należy unikać skalpujących Indjan, walk z tygrysami, pojedynków na lasso, porywań kobiet. Dzięki niemu wiodę cichy żywot, sprzedając w prosperującym sklepiku stare książki."

Pechowy finansista: "Siedzę w więzieniu od roku i jeszcze mam dalsze dwa przed sobą za nadmierne używanie mej książki czekowej."

Uchodźca niemiecki: "Największy wpływ na me życie wywarła książka, której nigdy nie czytałem t. j.— "Mein Kampf".



Życzenia świąteczne nadesłane "Tygodnikowi Polskiemu" fotolistem przez czytelnika naszego, żołnierza polskiego z Bliskiego Wschodu, Marjana Waniewicza



Pisarze polscy, których utwory zostały wydane przez firmę „Rój", zebrani na uroczystości z powodu rocznego istnienia firmy: prof. Oskar Halecki, Rulka Langerowa, Jan Lechoń, Kazimierz Wierzyński

POLISH WEEKLY
Editorial Office:
806 Lexington Avenue
New York City, 21
Tel. REgent 7-4168

Publishers:
Association of Writers from Poland

Editors:
ZENON KOSIDOWSKI
JAN LECHOŃ
JERZY TEPA
KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

Subscription:
Monthly 60 cents
Half yearly—$3.50 Yearly—$7.00